

Komunikowanie wartości poprzez patografie na przykładzie opowieści pt. „Rak, modlitwa i ocalenie”

Edyta Zierkiewicz

Zanim odniosę się do tytułu tego tekstu, czyli warstwy aksjologicznej przekazu patograficznego, za Jackie Stacey, wymienię kilka możliwych motywów, które skłaniają ludzi do upubliczniania swoich osobistych przeżyć – intymnych, przykrych, a czasami przerażających, czy nawet upokarzających.

Do niedawna w Polsce nie było szerokiego przyzwolenia społecznego na dzielenie się swoim doświadczeniem choroby. Dlatego też ludzie rzadko kiedy otwierali się przed innymi i ujawniali przemyślenia związane z chorowaniem na raka. Tylko zaufani przyjaciele mogli usłyszeć o kolejnych etapach zdrowienia, o trudach życia po (wy)leczeniu, o lękach związanych ze społecznym odbiorem (w tym: o obawach przed odrzuceniem, stygmatyzowaniem) itp. Zresztą choroba taka jak rak często stanowiła swoisty ryt przejścia – tak dla chorej, jak i jej otoczenia. Rak był próbą przyjaźni, miłości, lojalności. Nie wszyscy ją przechodzili – wielu na wieść o raku odwracało się od chorej i/lub jej rodziny. Teraz sytuacja zaczyna się w Polsce zmieniać, czego egzemplifikacją są na przykład patografie.

Stacey stwierdza, iż w Stanach Zjednoczonych procesy osvajania (się) społeczeństwa z chorobami przewlekłymi bardzo wyraźnie zaczęły zachodzić w latach 90. XX wieku. Wówczas to – zarówno w nauce, jak i kulturze samo-zdrowienia (*self-*

health) – znaczyło się ogromne pragnienie opanowania mistrzostwa... po prostu w zakresie życia, tzn. pragnienie poznania i kontroli, pragnienie zapanowania nad chorobą, ciałem i emocjami itp. Ludzie zawsze fantazjowali na ten temat, ale teraz – m.in. dzięki zaawansowanej medycynie – te marzenia wydają się im bardziej realne.

Niemniej rozwój nauki, i ogólnie postęp cywilizacyjny, nie umniejszyły znaczenia „tajemnicy życia”, a w tym niespodziewanych uzdrowień, których lekarze nie są w stanie wyjaśnić (przynajmniej na razie). Obecnie więc wielu ludzi sądzi, że „dostęp” do tej tajemnicy możliwy jest przede wszystkim poprzez osobiste opowieści pacjentów. W kulturze samo-zdrowienia tylko dążenie do odkrycia tego sekretu (zakopanego głęboko w ciałach ludzi chorych, jak też w ich podświadomości) uchroni nas przed autodestrukcją. Przede wszystkim jednak owe odkrycia, tj. upubliczniane opowieści, ukierunkowują nas na podejmowanie coraz większej odpowiedzialności za stan naszego organizmu, a więc i na poddawanie naszego ciała (i naszego Ja) coraz większej (samo)kontroli.

Opowieści o raku, paradoksalnie, służą opanowywaniu lęku przed chorobą, a może nawet mają przyczynić się do zapanowania nad terrorem śmierci (choćby tylko w wyobraźni). Dlatego Jackie Stacey

Biuletyn Środowiska Amazonek

pisze, że ona sama zaczęła opisywać swoje chorowanie na raka w geście obrony przed własną śmiertelnością. Pisanie czy opowiadanie o chorobie daje współczesnym ludziom poczucie kontroli i sprawstwa w zakresie troszczenia się o własne zdrowie – a właściwie sprzyja fantazjom, które zaprzeczają wiedzy o własnej skończoności. Świadomość gwałtownie upływającego czasu w sytuacji mierzenia się z chorobą jest często bardzo ostra, dlatego większość chorych próbuje ją „stępić”, np. poprzez targowanie się z losem lub zawieranie boskiej opatrności.

Pisanie o chorobie pozwala – staranniejsze niż gdy jedynie się o niej rozmyśla – „rozplanować” własne zdrowienie. Pozwala też pamiętać czy raczej upamiętnić wczesne etapy choroby – pamięć o nich umyka bowiem wraz z postępującym procesem leczeniem. Z drugiej strony, jest to też swoiste zapominanie o chorobie. Opowiadając o niej lokujemy ją w przeszłości – często wręcz traktujemy jak zamknięty (tu: domknięty narracyjnie) rozdział naszego życia. Takie opowieści bywają więc nazywane „sposobem konsumowania przeszłości”. Opowieści zmieniają doświadczenie choroby w *h i s t o r i ę*, w coś, co staje się wspólne dla narratora i słuchaczy/czytelników, w coś mniej osobistego. Opisanie umożliwia zobiektywizowanie własnego cierpienia, tzn. daje autorom szansę na przyglądanie się mu, na zdystansowanie się od niego, ale też czyni z niego „obiekt” wart ich ciągłego namysłu. Taki rodzaj pamiętania/„zapominania” działa na narratorów – a także na słuchaczy lub czytelników ich

opowieści – uzdrawiająco: oswaja i daje materiał do snucia własnych fantazji o kontroli.

Patografią, którą w tym numerze „Naszego Życia” chciałam krótko omówić jest historia Mary McDonnell „Rak, modlitwa i ocalenie”. Tę książkę dostałam od Krystyny Wechmann, dlatego sądziłam, że będzie ona dotyczyć raka piersi (tym bardziej, że jednym z patronów publikacji jest Federacja Amazonek). Bohaterka zmagала się jednak z innym rodzajem raka (z białaczką), co ma o tyle znaczenie, że nie doświadczyła ona presji, która jest wywierana na kobiety pozbawione tzw. atrybutu kobiecości (tj. piersi). McDonnell wspomina co prawda, że trudnym doświadczeniem dla niej była utrata włosów, a właściwie lęk przed reakcjami innych na wyłysienie oraz o operacji usunięciu macicy (choć tę potraktowała po prostu jak kolejną medyczną interwencję dokonaną na jej niedomagającym ciele).

Można by pomyśleć, że choroba i inne „medyczne” zdarzenia dostarczyły Mary McDonnell bogatego materiału do stworzenia patografii. Wykrycie białaczki, długotrwała chemioterapia, utrata ciąży w wyniku intensywnego leczenia, kolejna ciąża i narodziny córki, potem narodziny dwóch synów, wykrycie i operacja guza mózgu, histerektomia. Jednakże dla autorki to nie własne reakcje na przebieg kolejnych procedur medycznych są treścią patografii. Ona skoncentrowała się na kwestiach duchowych i pogłębianiu swojej wiary. Nie chodzi tu nawet o nadanie chorobie wymiaru teleologicznego (tj. traktowanie jej jako klęski celowo zesłanej przez Boga) i o nadawanie jej głębszego sensu, ale o

opowiedzenie o swojej religijności obok czy pomimo zagrożenia zdrowotnego. Taka publikacja jest dość niezwykła na polskim rynku, bo nawet jeśli narratorki wielu innych patografii wspominają o wierze, to jest ona dla nich przede wszystkim pociechą, źródłem nadziei, a nie treścią przeżywanego świata (i narracji).

Dla Mary McDonnell forma patograficzna jest więc po prostu pretekstem do głoszenia przekonania, że Boga można prosić o łaskę życia i On jej chętnie wysłucha. Sądzę, iż dla wielu chorujących kobiet religia jest bardzo istotnym elementem codziennego życia, że pomaga im w konfrontacji rakiem. Świadczy o tym choćby tradycja polskich Amazonek pielgrzymowania w październiku na Jasną Górę. McDonnell sugeruje jednak, że wystarczy po prostu zawierzyć sobie Bogu, by przetrwać dowolny problem (tu: przeżyć ciężką chorobę). W kontekście rozważań Jackie Stacey o pragnieniu zyskania kontroli nad własnym życiem przez współczesnych ludzi takie przekonania wydają się mocno anachroniczne.

Zastanawiam się czego polskiego czytelniczki mogą dowiedzieć się z tej książki, w czym może im ona pomóc, co może im wyjaśnić? McDonnell pisze, że we wspólnocie religijnej znalazła się przez przypadek (nic ciekawszego od spotkań modlitewnych w jej miasteczku się nie działo), i że jej uczestnictwo miało charakter dość praktyczny (najważniejsze było dla niej wsparcie, jakie otrzymywała od innych, tj. ich modlitwy za powrót do zdrowia). Co prawda, pisze też o tym, że jej wiara pogłębiała się wraz z postępem choroby, ale z książki można wywnioskować, że

przyczyną jej „rozwoju duchowego” były spełniane przez Boga prośby. Ale chociaż McDonnell co chwilę odnosiła wrażenie, że jest już całkowicie uzdrowiona, bo Bóg położył na niej swą rękę (s. 58), to zaraz przekonywała się, że jednak choroba wcale nie daje za wygraną.

Cały przekaz jest bardzo naiwny, a kwestie, które mogłyby wyjaśnić czytelniczkom jak McDonnell radziła sobie z rakiem czy na przykład jak w drugiej połowie XX w. funkcjonował irlandzki system opieki zdrowotnej zostały w zasadzie pominięte (jedyne czego się dowiadujemy, to tego, że przez wiele lat była oszukiwana przez lekarzy, którzy twierdzili, że leczą ją „na anemię”). W tym przypadku forma patografii została użyta to komunikowania wartości chrześcijańskich jednocześnie w skonwencjonalizowany i potoczny sposób. Moim zdaniem, ta opowieść może co najwyżej wzruszyć czytelniczki, które same przeszły chorobę onkologiczną, ale w żaden sposób nie zbliża nas do „tajemnicy” – ani tej ziemskiej (tajemnicy życia), ani duchowej (sekretu wiary). Zresztą wydaje się, że celem tej publikacji jest przesłanie prostego komunikatu: zdaj się na Boga, ale „nigdy się nie poddawaj”. Jak pisze sama autorka, chodziło jej o to, by każdy, kto jej przeczyta książkę, „nabrał nadziei i nowej ufności w Bogu, który zawsze jest blisko” i o to, by jej historia chociaż trochę odmieniła czyjeś życie (s. 114). Mojego z pewnością nie odmieni, ale jak będzie w przypadku innych czytelniczek trudno powiedzieć. Każda sama musi sobie o tym zdecydować.

Zapraszamy do przesyłania komentarzy, polemik i własnych recenzji